Andrzej Krzak, *Wojny bałkańskie 1912–1913*, Warszawa 2017, Wydawnictwo im. Stanisława Podobińskiego Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, ss. 349

Wojny bałkańskie nie są „[…] znane w naszym kraju, gdyż oprócz niewielu wcześniejszych opracowań, np. J. Krzyżanowskiego *Wojna bałkańska 1912–1913 r.* (Kraków 1913) i nowszych: M. Tantego *Rosja wobec wojen bałkańskich 1912–1913* (Warszawa 1970) panuje w tej tematyce posucha" – stwierdzili w pierwszych słowach wydanej w 2002 r. książki Antoni Giza i Krzysztof Filipow[1]. Od ich napisania minęło już 16 lat i za sprawą książek popularnonaukowych Roberta Rabki[2] oraz pracy Andrzeja Krzaka opinia ta w znacznym stopniu straciła na aktualności.

Przedmiotem recenzji jest ostatnia z wymienionych książek, wydana w 2017 r. staraniem Wydawnictwa im. Stanisława Podobińskiego Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie (obecnie Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy tego samego imienia)[3]. Jej Autor to pracownik naukowy wspomnianej uczelni, zatrudniony w Instytucie Nauk Społecznych i Bezpieczeństwa, w ramach wielu zainteresowań zajmujący się badaniem konfliktów i wojen na Bałkanach w XX i XXI w.[4] Duża część jego dorobku poświęcona jest tej problematyce, co sugeruje, że posiada on kompetencje niezbędne do zajęcia się problematyką wojen bałkańskich. W tym wypadku na jego korzyść przemawia także wieloletnia służba wojskowa i nabyte podczas niej doświadczenie.

Recenzowana praca, mająca w zamyśle Autora „charakter studium historyczno-wojskowego" (s. 19), składa się ze wstępu, czterech rozdziałów i zakończenia, co zostało ujęte na 294 stronach. Do książki dołączone są bibliografia zajmująca 16 stron (s. 295–310) oraz wykaz skrótów i akronimów (s. 311–313). Oprócz tego w pracy znajdują się aneksy zawierające ilustracje i zdjęcia, indeks osób, indeks nazw geograficznych i 24 mapy. W sumie książka liczy 349 + 12 stron, co sprawia, że jest to najobszerniejsza praca w języku polskim poświęcona wojnom prowadzonym na Bałkanach w latach 1912–1913.

W otwierającym książkę wstępie (s. 9–21) Krzak zawarł ogólną charakterystykę Półwyspu Bałkańskiego pod względem politycznym i wojskowo-geograficznym oraz określił podstawy metodologiczne książki. Autor przedstawił przedmiot badań, cele i pytania badawcze, hipotezę oraz przyjęte metody badawcze. We wstępie zostały także omówione źródła informacji (pierwotne i wtórne) oraz struktura pracy.

Rozdział I, zatytułowany „Organizacja i przygotowanie sił zbrojnych państw Półwyspu Bałkańskiego do działań militarnych w latach 1912–1913" (s. 23–96), ma charakter wprowadzający. W pierwszym podrozdziale na niespełna 20 stronach Autor w sposób syntetyczny scharakteryzował sytuację polityczną panującą na Bałkanach na początku XX w., koncentrując się na problemie macedońskim, kwestii rewolucji młodotureckiej i sprawie albańskiej. Drugi podrozdział bezpośrednio korespondujący z tytułem rozdziału zawiera opis formowania się sojuszu państw bałkańskich,

[1] A. Giza, K. Filipow, *Wojny bałkańskie 1912–1913 roku. Aspekty polityczne i militarne (początki niewoli Bułgarów w Macedonii Egejskiej i Wardarskiej)*, Białystok 2002, s. 7.

[2] R. Rabka, *Bałkany 1912–1913*, Warszawa 2010; idem, *Macedonia–Epir–Albania 1912–1913*, Warszawa 2016.

[3] Z niewiadomych przyczyn na stronie tytułowej jako miejsce wydania podano Warszawę.

[4] Przytoczona informacja pochodzi z oficjalnej strony Instytutu Nauk Społecznych i Bezpieczeństwa Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego w Częstochowie. Zob. http://www.insib.ajd.czest.pl/1411,Pracownicy (dostęp: 9 IX 2018).

http://rcin.org.pl

charakterystykę sił zbrojnych „Porty Ottomańskiej (Turcji)" (sic!) oraz wojsk sojuszniczych, a także plany wojenne stron.

W rozdziale II, pt. „I wojna bałkańska 1912–1913. Wschodni teatr działań wojennych" (s. 97–153), Krzak opisał przebieg walk na najważniejszym dla losów I wojny bałkańskiej Wschodnim Teatrze Działań Wojennych (TDW) obejmującym Trację Zachodnią i wschodnią część Macedonii Egejskiej. Rozdział ten kończy podrozdział zatytułowany „Wojskowa ocena działań na wschodnim teatrze działań militarnych I wojny bałkańskiej".

Rozdział III, pt. „Działania na macedońskim teatrze działań wojennych" (s. 155–210), zawiera opis walk na Zachodnim TDW. Tu również znajdują się podrozdziały, w których omówiono działania morskie i powietrzne prowadzone na obu teatrach (Wschodnim i Zachodnim) oraz przebieg konferencji pokojowej w Londynie. Ponadto przedstawiono ocenę polityczną i wojskową I wojny bałkańskiej.

Rozdział IV nosi tytuł „Wojna międzysojusznicza (druga wojna bałkańska czerwiec–lipiec 1913)" (s. 211–287). W podrozdziałach Krzak zaprezentował treści związane z przyczynami rozpadu Ligi Bałkańskiej, siłami i planami stron konfliktu, działaniami militarnymi, ustaleniami traktatu pokojowego w Bukareszcie oraz „podsumowanie".

W zakończeniu Autor podjął próbę sformułowania ogólnych wniosków wypływających z treści książki – zarówno w wymiarze politycznym, jak i militarnym. W podsumowaniu wywodu Krzak napisał, że wojny bałkańskie stanowią „ciekawy epizod w dziejach wojen i wojskowości", są „przykładem zastosowania nowych rodzajów wojsk i broni", a „doświadczenia, wynikające z ich przebiegu zapowiadały też konieczność dokonania zmian w taktyce, sztuce operacyjnej oraz strategii, a także w organizacji wojsk, zwłaszcza w obszarze prowadzenia (a także przygotowania) działań militarnych w terenie górzystym" (s. 294).

Odnosząc się do struktury książki, trzeba przyznać, że idea ujęcia materiału w czterech zbliżonych pod względem objętości rozdziałach okazała się niefortunnym rozwiązaniem. Nagromadzenie w nich różnorodnych treści powoduje, że ich tytuły nie zawsze korelują z zawartością, czego przykładem jest rozdział III.

Wiele do życzenia pozostawia także wewnętrzna struktura rozdziałów. Rozdział I składa się z 2 podrozdziałów, II – 3, III – 14, a IV – 8. Autor zastosował również podział na podpunkty, co dodatkowo komplikuje odbiór książki, tym bardziej że najwięcej podpunktów to dziewięć. Wiele podrozdziałów nie zawiera ich natomiast wcale.

Przechodząc do oceny merytorycznej, na początku trzeba stwierdzić, że Autor podjął się wyjątkowo trudnego zadania, jakim jest całościowe ujęcie tematu wojen bałkańskich (s. 20). W ich przypadku problem polega bowiem na dużej liczbie państw zaangażowanych w ten konflikt zbrojny, a co za tym idzie, bogactwie literatury w językach narodowych i kongresowych. Trzeba wyraźnie podkreślić, że dotyczy to literatury zawierającej odmienne stanowiska wobec badanych kwestii politycznych i militarnych oraz różniącej się co do ocen i wniosków. W związku z tym dobór przywoływanej literatury, obok rozważań autorskich, jest kluczowym czynnikiem przekładającym się na ocenę wartości poznawczych książki.

We wstępie wśród źródeł informacji Krzak wymienił archiwa (w zasadzie wyłącznie serbskojęzyczne) oraz „najciekawsze prace", a także „niezwykle interesujące opracowania" (s. 17–19). W grupie „najciekawszych prac" opisujących działania militarne należy zwrócić uwagę na wyraźną nadreprezentację książek napisanych przez jugosłowiańskich historyków. Spoza ich kręgu Krzak wymienia jedynie książkę

http://rcin.org.pl

Richarda C. Halla[5]. Zdecydowanie bardziej zróżnicowany wybór autorów mamy w grupie książek „niezwykle interesujących", choć trzeba przyznać, że sąsiadują tu ze sobą bez wyraźnego rozgraniczenia monografie naukowe, prace popularnonaukowe i relacje korespondentów wojennych.

Konsekwencję takiego doboru źródeł stanowi to, że np. przy opisie działań wojsk bułgarskich przywoływani są obcojęzyczni autorzy, mimo że dysponujemy bogatą literaturą bułgarską, w tym publikowanymi zbiorami dokumentów[6]. Sięgnięcie do nich rozwiałoby wiele sztucznych kontrowersji i pozornych problemów co do składu i liczebności bułgarskich oddziałów (np. s. 67, przypisy 284, 286, s. 68, przypis 290, s. 219, przypisy 59–64).

Pozostając na chwilę przy tym temacie, pewną niekonsekwencją jest również przywoływanie w przypisach prac Rabki, skoro wcześniej Autor pisał, że „zawierają liczne błędy" (s. 17, przypis 27). W moim odczuciu mocno ryzykowne jest także podawanie w przypisach jako wiarygodnych źródeł książek korespondentów wojennych, którzy na skutek wyjątkowo restrykcyjnych działań cenzury wojskowej mieli utrudniony dostęp do pierwszej linii frontu, a swoje relacje w dużym stopniu opierali na zasłyszanych informacjach[7].

Książka nie jest także wolna od innych błędów, usterek, nieścisłości i uchybień. Dotyczą one zarówno kwestii merytorycznych, jak i redakcyjnych. Do części z nich, korzystając z prawa recenzenta, odniosę się teraz szczegółowo.

We wstępie na s. 11 Autor błędnie użył zwrotu „teatr działań wojennych" zamiast „teatr wojny". W konsekwencji otrzymaliśmy zapis, jakoby teatr działań wojennych w 1912 r. dzielił się na dwa teatry działań wojennych – Wschodni i Zachodni (Macedoński), co jest pozbawione sensu. Należy również wyrazić żal, że Krzak nie opisał wpływu terenu na działalność wojsk, a jedynie ograniczył się do ich geograficznego scharakteryzowania.

Przy opisie geograficzno-wojskowym Półwyspu Bałkańskiego (s. 12–13) oraz w całej książce (z nielicznymi wyjątkami) Autor posługuje się terminem „Macedonia" jako jednorodna kraina geograficzna. Dla niewprawnego czytelnika może to stanowić problem, bowiem tylko wschodni skrawek Macedonii Egejskiej należał do Wschodniego TDW, a pozostała jej część oraz cała Macedonia Wardarska do Zachodniego TDW. Brak wyodrębnienia tego podziału ma swoje konsekwencje przy lekturze książki, np. w rozdziale II opisującym walki wojsk bułgarskich mamy podrozdział zatytułowany „Sytuacja polityczno-wojskowa w Macedonii".

W rozdziale II na s. 65 Autor nie zachowując należytej staranności w doborze źródła, błędnie podał, że Szkoła Wojskowa w Sofii została otwarta w 1877 r. W istocie szkoła ta powstała rok później, w listopadzie 1878 r.[8] W tym samym rozdziale na

---

[5] R.C. Hall, *The Balkan Wars 1912–1913. Prelude to the First World War*, London–New York 2005.

[6] W tej grupie można wskazać np.: *B"lgarska vojenna istoriâ. Podbrani izvori i dokumenty*, t. II, red. H. Hristov, Sofiâ 1984.

[7] Szerzej na ten temat zob. D. Faszcza, *Wojny bałkańskie 1912–1913 w przekazach korespondentów wojennych*, w: *Wojna – Wojsko – Bezpieczeństwo. Studia i materiały*, t. II, red. A. Aksamitowski i in., Szczecin 2017, s. 95–112.

[8] *Prikaz № 18 knâz Dondukova-Korsakova ob otkrytii voennogo učiliŝa v Sofii*, Sofiâ, 26 noembri 1878 r., dok. nr 45, w: *Rusiâ i v"zstanovâvaneto na b"lgarskata d"ržavnost (1878–1885 g.)*, red. kol. B. Bužaška i in., Sofiâ 2008, s. 169.

http://rcin.org.pl

s. 153 znajduje się ocena działań wojsk bułgarskich. Zawarty jest tu m.in. opis tzw. bułgarskiego modelu wojowania polegającego rzekomo na „rzucaniu dużych mas piechoty" do ataku na bagnety „wspartych ogniem bateryjnym". Pomijając niefortunny zwrot „ogień bateryjny"[9], przytoczony bezkrytycznie opis kłóci się nieco z podaną na s. 65 informacją o wykorzystaniu w szkoleniu armii bułgarskiej doświadczeń z wojny rosyjsko-japońskiej[10]. Doszukiwanie się jakiegoś wyjątkowego „bułgarskiego modelu wojowania" jest nieuprawnione także z innego powodu. Otóż podstawowy dokument wykorzystywany w szkoleniu wojsk „Regulamin służby polowej piechoty" stanowił nieomal dosłowne tłumaczenie francuskiego regulaminu z 1904 r.[11] Tym samym bardziej adekwatnym sformułowaniem byłoby twierdzenie o adaptacji francuskiego sposobu walki przez Bułgarów.

Niespójne jest również twierdzenie zawarte na s. 153 o „świetnym" wyszkoleniu żołnierzy bułgarskich. Trzy akapity dalej Autor stwierdził, że nikt ich nie szkolił w „zakresie prowadzenia wielodniowej (wielotygodniowej czy wielomiesięcznej) wojny w okopach". To prawda, ale przecież nikt w tym czasie w Europie nie szkolił się do walki pozycyjnej. Ówcześni teoretycy wojskowi gremialnie uważali, że piechota, która umie dobrze nacierać, równie dobrze potrafi się bronić i nie ma potrzeby jej tego uczyć[12]. Swoją drogą, ciekawe jak Krzak wyobraża sobie wielomiesięczne szkolenie walki w okopach? Jedno jest pewne: bułgarska doktryna wojenna miała charakter zaczepny, tak samo jak doktryna francuska, niemiecka czy rosyjska, a ich oddziały walczyły zgodnie z zasadami przejętymi w ówczesnych armiach europejskich. Inną sprawę stanowią natomiast ograniczone możliwości techniczne armii bułgarskiej w porównaniu z wymienionymi wyżej wojskami.

Autor recenzowanej książki nie jest konsekwentny w stosowaniu nazewnictwa obszaru, na którym prowadzono walki. We wstępie wymienił teatry działań wojennych, kierunki strategiczne, ale już w rozdziale I na s. 91 czytamy o „trackim teatrze wojennym", w rozdziale III na s. 158 – o „froncie zachodnim (macedońskim lub serbskim)", a na s. 184 o „greckim polu walki" i „greckim polu działań wojennych". Nie jestem zwolennikiem sztywnych form językowych i eksponowania w pracach historycznych terminologii wojskowej, ale skoro Autor zaczął ją stosować we wstępie, to należałoby to robić konsekwentnie do końca, tym bardziej że dbałość o jednolite zasady jest ważną cechą prac naukowych.

Pozostając jeszcze przy terminologii wojskowej, jako wyjątkowo niefortunne uważam stosowanie terminu „Wojsko Ibarskie". Na s. 181 Krzak pisze np. o „grupie operacyjnej Wojska Ibarskiego". Dla niewtajemniczonych należy wyjaśnić, że Ibar to nazwa rzeki przepływającej przez dzisiejszą Czarnogórę i Serbię, prawy dopływ Morawy Zachodniej. Uważam zatem, że adekwatna nazwa dla tego związku to Grupa

---

[9] W pracy znajdują się również inne zaskakujące, w kontekście wojen prowadzonych na początku XX w., określenia, np. „śmiercionośne systemy uzbrojenia" (s. 153).

[10] Pisze o tym m.in. R.C. Hall, *The Next War: The Influence of the Russo-Japanese War on Southeastern Europe and Balkan Wars of 1912–1913*, „Journal of Slavonic Military Studies" 2004, nr 17 (3), s. 569.

[11] Szerzej na ten temat zob. V. Vacilev, *Po-natat"šno razvite na voennoobrazovateliâ proces. Bojna podgotovka na vojskite*, w: *B"lgarskata Armiâ 1877–1919*, red. kol. V. Vasilev, Sofiâ 1988, s. 218–221.

[12] W. Balck, *Rozwój taktyki w ciągu Wielkiej Wojny*, tłum. T. Różycki, Warszawa 1921 (reedycja: Warszawa 2012), s. 15.

http://rcin.org.pl

Bojowa „Ibar", Oddział Wydzielony „Ibar" czy – jak pisze R.C. Hall – Armia „Ibar" (ang. *The Ibar Army*)[13].

Nadużyciem jest również stosowanie przez Autora terminu „siły powietrzne". W tym okresie możemy mówić co najwyżej o „lotnictwie" jako elemencie składowym oddziałów aeronautycznych. Zwrot „siły powietrzne" w przypadku wojen bałkańskim jest terminem ahistorycznym i na pewno nie odpowiada stanowi rzeczy.

W rozdziałach II i III daje się także zauważyć brak jasności i precyzji w tytułach podrozdziałów. Na przykład podrozdział 2.1. został zatytułowany „Walki partyzanckie w Macedonii i Tracji", ale w jego treści nie ma słowa o działaniach w Tracji. Podobnie sytuacja wygląda z podrozdziałem 3.2. „Położenie wojsk serbskich i plan działania", w którym Autor opisał *de facto* walki wojsk serbskich prowadzone od 15 do 22 X 1912 r.

Nie będę także ukrywał rozczarowania nader skromną w porównaniu ze Wschodnim TDW oceną działań militarnych na „froncie macedońskim". Ten podrozdział, w którym powinna znaleźć się charakterystyka działań armii serbskiej, czarnogórskiej, greckiej i osmańskiej, liczy w sumie 18 wierszy (s. 204–205) i jest prawdopodobnie najmniej obszerny w całej książce.

Rozdział III kończy podrozdział zatytułowany „Polityczna i wojskowa ocena I wojny bałkańskiej", gdzie Autor na nieco więcej niż pięciu stronach (s. 205–210) skoncentrował się głównie na militarnym aspekcie wojny. Wnioski Krzaka w tym fragmencie są spójne i oddają ustalenia zawarte w literaturze tematu. Ważne miejsce wśród nich zajmują fragmenty dotyczące zabezpieczenia materiałowego walczących wojsk. Niestety, w tym podrozdziale Autor powrócił (nie po raz ostatni zresztą) do „bułgarskiego modelu wojowania". Aby zakończyć ten wątek i skłonić Krzaka do szerszej refleksji na temat „rzucania dużych mas piechoty do natarcia «na nóż»", warto w tym miejscu przytoczyć opracowanie Sekcji Wojskowo-Historycznej niemieckiego Sztabu Generalnego z 1914 r. Jego autorzy stwierdzili, że rzeczywiście w początkowym okresie walk w kilku przypadkach bułgarska piechota została skierowana do czołowych ataków bez przygotowania artyleryjskiego. Zawsze kończyły się one jednak niepowodzeniem i zostały okupione dużymi stratami. W pozostałych przypadkach ataki prowadzone były… niezwykle ostrożnie i spokojnie. Bułgarzy nie trzymali się sztywno zasad prowadzenia natarcia, umiejętnie wykorzystując teren i zarzucając stosowanie norm taktycznych[14]. Pośrednim dowodem zaprzeczającej opinii o preferowaniu tej formy walki jest również relacja amerykańskiego lekarza wojskowego przebywającego na Bałkanach w czasie I wojny bałkańskiej (prawdopodobnie znana Krzakowi, jako że wymienia ją w bibliografii). Zwrócił on uwagę, że liczba żołnierzy armii osmańskiej trafiających do szpitali z ranami kłutymi była niewielka, stąd płynie wniosek, że do walk na bagnety nie dochodziło tak często, jak się to czasem przyjmuje[15].

Zdaniem Autora książki atak „na bagnety" miał być najbardziej efektywnym sposobem walki stosowanym także przez Serbów i Czarnogórców, a ci ostatni „wręcz nie

[13] R.C. Hall, *The Balkan Wars*…, s. 54.

[14] Generalen šab na germanskata armiâ Voennoistoričeskata sekciâ, *Balkanskata vojna 1912–1913. Voenite dejstviâ v Trakiâ do čataldžanskoto primirie*, tłum. D. Mihov, „Voennoistoričeski sbornik" 2009, kn. 2–3, s. 136 (pierwsze tłumaczenie tego tekstu na język bułgarski ukazało się w 1925 r. jako samoistne opracowanie).

[15] S.C. Ford, *The Balkan Wars. Being a Series of Lectures Delivered at The Army Service Schools Fort Leavenworth, Kansans*, Leavenworth 1915, s. 45.

http://rcin.org.pl

korzystali ze wsparcia artylerii, dążąc do rozstrzygnięcia walki w ataku na bagnety" (s. 209). Niestety, Krzak nie podał źródła tej informacji. Pozostając na chwilę przy tej kwestii, warto zwrócić uwagę, że każdy atak kończy się szturmem, a brak wsparcia artyleryjskiego wojsk maleńkiej Czarnogóry mógł w gruncie rzeczy wynikać z niewielkiej liczby armat i odpowiednio wyszkolonych obsług[16].

Rozczarowująca jest również treść podrozdziału dotyczącego zawarcia pokoju kończącego II wojnę bałkańską (podrozdział 4.7.). Ten fragment przedstawiający „długie zabiegi" mające na celu „zastopowanie pochodu wojsk rumuńskich" oraz przebieg trwającej od 30 lipca do 10 sierpnia konferencji pokojowej i jej ustalenia zajął Krzakowi nieco więcej niż jedną stronę (s. 283–284).

Autor recenzowanej pracy stosuje czasami daleko idące uproszczenia, przez co czytelnik może uzyskać niewłaściwy obraz wydarzeń. Przykładem jest informacja zawarta w przypisie 6 na s. 213, gdzie Krzak pisze o „Komisji Lorda Carnegiego", która zajęła się wyjaśnieniem zbrodni popełnionych wobec ludności cywilnej. W istocie chodzi o raport międzynarodowej komisji, w której skład wchodzili przedstawiciele sześciu państw (Stany Zjednoczone, Rosja, Francja, Wielka Brytania, Austria – tak w raporcie), wydany pod auspicjami the Carnegie Endowment for International Peace[17]. Andrew Carnegie, twórca i założyciel tej organizacji, nie był członkiem wspomnianej komisji, a raport wstępem opatrzył pełniący obowiązki dyrektora Nicholas Murray Buttler[18]. Co więcej, A. Carnegie nie posiadał tytułu lordowskiego.

Przy okazji omawiania kwestii zbrodni wojennych Krzak niepotrzebnie stara się tłumaczyć akty bezprawia popełnione przez Serbów i Czarnogórców na ludności albańskiej brakiem obiektywizmu piszących o tym dziennikarzy (s. 290), lekceważąc tym samym ustalenia członków międzynarodowej komisji badającej ten problem[19].

Książka zawiera także wiele zaskakujących i kontrowersyjnych twierdzeń. Autor np. uważa, że sztabowcy tureccy nie wiedzieli, iż na „froncie trackim" wojska sułtana będą musiały się zmierzyć „z trzema silnymi armiami bułgarskimi" (s. 132), tak jakby na tym TDW Turcy mogli walczyć jeszcze z kimś innym. Na s. 133 we fragmencie podsumowującym walki pod Lozengradem i Lüleburgaz Krzak wspomina o działaniach sojuszników, co nie odpowiada prawdzie, bo w tym czasie na tym TDW walczyły tylko wojska bułgarskie. Przy opisie desantu pod Şarköy na s. 136 Krzak pisze natomiast, że wojska osmańskie „przeprowadziły […] dwudniową operację desantową", a stronę dalej, że „W ciągu trzech dni walk ok. 100 zabitych i kilkudziesięciu rannych" – zdanie zacytowano zgodnie z oryginałem.

---

[16] W chwili mobilizacji armia czarnogórska posiadała 106 dział i 12 kartaczownic. Dla porównania wojska osmańskie, z którymi im przyszło walczyć, dysponowały 150 działami i 32 kartaczownicami. Dawało to Turkom przewagę 1 : 1,41. B. Ratković, M. Burišić, S. Soko, *Srbija i Crna Gora u Balkanskim ratovima 1912–1913*, Beograd 1972, s. 177.

[17] The Carnegie Endowment for International Peace – założona w 1910 r. w Nowym Jorku organizacja o charakterze globalnym, zajmująca się sprawą wspierania pokoju międzynarodowego. *Carnegie Endowment for International Peace*, http://carnegieendowment.org (dostęp: 14 VIII 2018). Por. też: J.B. Rae, T.H.D. Mahoney, *The United States in World History. From Its Beginnings to World Leadership*, New York–Toronto–London 1955, s. 562.

[18] *Report of the International Commission to Inquire into the Causes and Conduct of the Balkan Wars*, Washington 1914, s. III.

[19] Ibidem, s. 73–74, 149–151.

http://rcin.org.pl

Zdziwienie budzi także informacja zawarta na s. 238, że „parlament Rumunii uchwalił wydzielenie lotnictwa wojskowego jako niezależnego rodzaju sił zbrojnych podporządkowanego dowództwu wojsk inżynieryjnych”[20]. Na marginesie tej nieco zaskakującej informacji trzeba stwierdzić, że opis armii rumuńskiej zajął Autorowi aż 11 stron (s. 230–241). Dla porównania armia osmańska opisana została tylko na siedmiu stronach (s. 57–64), tak samo jak bułgarska (s. 64–71), a serbska (s. 71–77) i grecka (s. 77–83) na sześciu. Armii Królestwa Czarnogóry Krzak poświęcił natomiast trzy strony (s. 83–86). Biorąc pod uwagę zaangażowanie wojsk rumuńskich i ich rolę w czasie obu wojen bałkańskich, jej opis wydaje się nazbyt rozbudowany.

Komentarza wymaga także kwestia terminologii. To prawda, że w polskim piśmiennictwie ugruntowała się zasada pisania o państwie sułtańskim – Turcja. Jednak od badacza problematyki bałkańskiej można oczekiwać, że zgodnie z prawdą historyczną będzie się posługiwał terminem „Imperium Osmańskie”. Szkoda, że Autor nie zadał sobie trudu i nie przyjął jednakowej zasady pisowni nazw miejscowości. I tak w tekście posługuje się równolegle spolszczonymi nazwami, np. Czataldża, tureckimi, np. Şarköy, Lüleburgaz i bułgarskimi, np. Lozengrad.

W podsumowaniu należy stwierdzić, że omawiana książka wymyka się jednoznacznej ocenie. Jest ona na pewno przykładem benedyktyńskiej pracy, o czym może świadczyć chociażby liczba 1894 przypisów (inna sprawa, czy wszystkie są potrzebne). Mimo pewnych mankamentów z uznaniem trzeba również wspomnieć o bazie źródłowej, która w większości charakteryzuje się dużą wartością merytoryczną, przez co przebieg walk i towarzyszące im wydarzenia polityczne zostały zrekonstruowane właściwie. Mocną stroną książki są też przy pewnych mankamentach zamieszczone w niej mapy[21], które podnoszą jej walory merytoryczne i edytorskie.

Jednocześnie mamy zbyt dużo niedoskonałości, które rzutują na odbiór i ocenę opracowania. Na pierwszym miejscu należy wymienić nieczytelny układ i przyjętą formułę. Wydaje się, że Autorowi zabrakło jasno sprecyzowanej koncepcji pracy, a jej struktura budzi uzasadnione wątpliwości. Największą słabością omawianej książki jest w mojej ocenie zredukowanie podjętego w niej tematu do odtworzenia przebiegu walk (*à la* opracowanie sztabu generalnego) bez uwzględnienia czynnika społecznego i nieco zmarginalizowanie kwestii politycznych, szczególnie skutków wojen. Inny mankament to selekcja i krytyczna ocena zebranych materiałów. Ta ostatnia kwestia jest o tyle istotna, że przekłada się na jednostronność i wybiórczość ujęcia, co widać w nadmiernym eksponowaniu wysiłku serbskiego tak podczas I (s. 206), jak i II wojny bałkańskiej (s. 294), wspomnianej wyżej próbie tłumaczenia zbrodni wojennych popełnionych przez Serbów czy wreszcie zawężeniu wniosków jedynie do „działań militarnych w terenie górzystym” z pominięciem np. Tracji, która nie jest obszarem górzystym. Następną sprawę stanowią kwestie terminologiczne, które zakłócają odbiór i wprowadzają chaos pojęciowy.

---

[20] Zdanie to zawiera sprzeczność logiczną. Inna sprawa, że lotnictwo wojskowe zostało wydzielone jako samodzielny rodzaj wojsk znacznie później, dopiero 14 XI 1936 r., z chwilą utworzenia Ministerstwa Lotnictwa i Marynarki. M. Mosneagu, V. Marin, *Nicolae Caranfil la Ministerul Aerului si Marinei*, „Studii si Comunicări” 2009, t. II, s. 143. Na temat traktowania lotnictwa jako trzeciego samodzielnego elementu sił zbrojnych zob. *Lotnictwo*, w: *Encyklopedia wojskowa*, t. V, red. O. Laskowski, Warszawa 1936, s. 116.

[21] Odbiór reprodukowanych map nieco umniejsza opis miejscowości i rzeźby terenu, wykonanych w różnych językach: raz po serbsku, raz po bułgarsku, innym razem po angielsku.

http://rcin.org.pl

Należy zatem wyrazić żal, że Krzakowi nie udało się przedstawić pogłębionej refleksji nad badanymi problemami i przygotować klarownego wywodu. W sumie otrzymaliśmy solidnie wydaną (twarda okładka), obszerną (294 strony) książkę, która wprawdzie w ogólnym rozrachunku dość wiernie odtwarza przebieg wydarzeń militarnych, to jednak nie spełnia oczekiwań stawianych pracom naukowym.

Dariusz Faszcza
Pułtusk

John J. Mearsheimer, *Tragizm polityki mocarstw*, tłum. Piotr Nowakowski, Jan Sadkiewicz, Kraków 2019, Universitas, ss. 507, mapy

Praca Johna J. Mearsheimera warta jest zrecenzowania przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, z uwagi na spójność i sugestywność swego przesłania opartego na masie nagromadzonych faktów. Po drugie, ze względu na autora, wpływowego profesora nauk politycznych na Chicago University, reprezentującego sposób myślenia wpływowy i ważący w Stanach Zjednoczonych, czyli ciągle w jedynym światowym supermocarstwie.

Opus magnum Mearsheimera nie jest, jakby mogło się wydawać, historią stosunków międzynarodowych, a więc pracą podobną do głośnych (i wydanych u nas) *Mocarstw świata* Paula Kennedy'ego i wyraźnie nawiązującego do tej ostatniej pracy *Tańca mocarstw* Brendana Simmsa. Pomijając fakt, że wspomniani dwaj badacze zajmowali się połową ostatniego tysiąclecia, a Mearsheimer jedynie ostatnim dwusetleciem, uczony z Chicago postawił sobie inny cel. Mimo bogactwa tabel, liczb i map próżno u niego szukać chronologicznej, systematycznej opowieści o rywalizacji mocarstw jako takiej. Nie jest to w żadnej mierze podręcznik historii, nawet specyficzny. To raczej prezentacja pewnej teorii stosunków międzynarodowych stanowiącej wedle autora klucz do polityki mocarstw.

Swą teorię Mearsheimer nazwał realizmem ofensywnym. Pesymistyczna w wymowie (autor nieustannie smaga swych oponentów liberałów za nieuzasadniony – jak uważa – optymizm) sprowadza się ona do poglądu, że mocarstwa skazane są na wieczną rywalizację i szukanie co najmniej lokalnej hegemonii. Nic bowiem (wywodzi) – prócz niemożliwej do stworzenia ponadpaństwowej władzy arbitrażowej – nie może zapewnić im poczucia bezpieczeństwa. Konflikty, przeradzające się niekiedy w wojny, są nieuniknione; twierdzenia o „końcu historii" i wygasaniu tarć z powodu stabilizujących, ponadnarodowych więzi (choćby handlowych) stanowią mrzonkę. Ustrój demokratyczny nie jest tu żadnym zabezpieczeniem: demokracje (przynajmniej wobec państw o innym ustroju) są równie wojownicze jak autokracje. Nad różnicami ustrojowymi i ideologicznymi autor zresztą z zastanawiającą konsekwencją przechodzi do porządku dziennego. Podkreśla, że na rozumienie własnej racji stanu nie mają one żadnego wpływu. U swych rodaków piętnuje „nieustanną skłonność do moralizowania" i związane z tym dzielenie państw na dobre i złe. „Stricte realistyczna analiza zimnej wojny nie wymaga odróżnienia motywów, jakimi kierowały się w tym kontekście Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Zdaniem realistów działania obu stron wynikały z troski o równowagę sił, a każde z supermocarstw robiło co mogło, dla maksymalizacji własnej względnej potęgi" (s. 32). „Nie uważam za istotne, czy w 1905 r. Niemcami

http://rcin.org.pl

rządził Bismarck, cesarz Wilhelm czy Adolf Hitler oraz czy w kraju tym panował ustrój demokratyczny czy autorytarny. Z punktu widzenia realizmu ofensywnego liczyła się przede wszystkim relatywna siła Niemiec" (s. 12). Mearsheimer z pewnością przyklasnąłby opinii, wyrażonej przez pewnego polskiego polityka, że Niemcy za cesarstwa, III Rzeszy i demokratycznej republiki federalnej tak samo zwalczały Serbię.

Te uwagi na temat „nagiego realizmu" zbliżają amerykańskiego autora do sposobu rozumowania szkoły Bismarcka, a w Polsce – Romana Dmowskiego. Zapewne nie bez powodu dzieło Mearsheimera wydała w naszym kraju oficyna Universitas, która niemal jednocześnie – w tej samej serii „Historia-Polityka" – opublikowała prace Adolfa Bocheńskiego i Władysława Studnickiego. Współautor przekładu, wicedyrektor Universitas Jan Sadkiewicz jest, nawiasem mówiąc, autorem ciekawej pracy *„Ci, którzy przekonać nie umieją". Idea porozumienia polsko-niemieckiego w publicystyce Władysława Stadnickiego i wileńskiego „Słowa" (do 1939)* (Kraków 2012).

Warto w tym miejscu nadmienić, iż John J. Mearsheimer napisał specjalną – i niebanalną – przedmowę do wydania polskiego swego *opus magnum*, co jest gestem nieczęsto spotykanym wśród Amerykanów niemających uczuciowych związków z naszym krajem. Uznał w niej Polskę, obok Korei, za „jeden z dwóch krajów, które w ciągu ostatnich dwustu lat były najbardziej narażone na agresję" (s. V), a to z powodu podobnie niefortunnego położenia w sąsiedztwie trzech wielkich mocarstw. Zauważyć wypada, że porównanie to nie jest do końca trafne. Korea straciła w pewnym momencie niepodległość (na okres, bądź co bądź, trzykrotnie krótszy od Polski, a gdyby za brak niepodległości uznać czasy PRL, na ponad czterokrotnie krótszy), ale nigdy nie została podzielona między sąsiadów; przypadek Rzeczypospolitej pod tym względem stanowił fenomen. Gdy zaś Półwysep Koreański rozdzieliła linia demarkacyjna, przedzielone nią twory były organizmami całkowicie suwerennymi.

Potężny wolumin Mearsheimera zawiera niewiele błędów merytorycznych. Świadczy to z pewnością dobrze o warsztacie autora, acz należy pamiętać, że przyjęty przez niego sposób wykładu, stroniący od szczegółowego opisu wydarzeń, powoduje, że w książce pojawia się stosunkowo niewiele nazwisk, nazw geograficznych czy dat dziennych (indeksy, nazwisk i nazw geograficznych są owszem, obszerne, ale umiarkowane jak na tom liczący, bądź co bądź, pół tysiąca stron). Autor np. wyraźnie nie wie, na czym polegała napoleońska blokada kontynentalna, pisząc o niej w kontekście „cierpień powodowanych brakiem żywności" (s. 118). Tymczasem Napoleon zezwalał (udzielając specjalnych licencji) na sprzedaż żywności do Anglii; blokada miała w jego zamyśle drenować Wyspy Brytyjskie finansowo.

Do poważniejszych, bo *stricte* faktograficznych, a charakterystycznych niestety dla historiografii anglosaskiej, potknięć należy przekonanie, iż Japonia w 1938 r. przegrała konfrontację graniczną ze Związkiem Sowieckim w rejonie Changkufeng (w Rosji epizod ten znany jest jako starcia nad jeziorem Chasan). Autor wspomina o tym kilkakrotnie (s. 221, 267, 314), nie sięgając wszakże ani do prac rosyjskich, ani japońskich (nawet tłumaczonych). W rzeczywistości sowiecki korpus, wsparty przez czołgi i samoloty, skompromitował się wówczas, powstrzymany przez dwa japońskie pułki bez konieczności ściągania dodatkowych sił czy ciężkiej broni. (Inna rzecz, że Tokio wyciągnęło z tego rezultatu nadmiernie optymistyczne wnioski). Gdyby Mearsheimer przeczytał znakomitą (*nota bene* zaopatrzoną w angielskie streszczenie…) pracę Jakuba Wojtkowiaka, *Polowanie na „dalniewostoczników". Represje wobec korpusu oficerskiego dalekowschodniego zgrupowania radzieckich sił zbrojnych w latach 1937–1939* (Poznań 2007), nie napisałby też zapewne, iż czystki w wojskach na Dalekim

http://rcin.org.pl

Wschodzie „nie były […] prowadzone z taką samą zaciekłością jak w pozostałych ugrupowaniach Armii Czerwonej" (s. 314–315). Nie jest prawdą, iż USA uczestniczyły w latach 1941–1946 w okupacji południowego Iranu (s. 243). Autor słusznie wspomina na s. 392 o wspieraniu Mao Zedonga przez Stalina w czasie chińskiej wojny domowej (1946–1949), natomiast eufemizmem jest jego twierdzenie, jakoby „jednocześnie Stany Zjednoczone zapewniały niewielką pomoc siłom narodowym" (ibidem). W istocie USA ogłosiły wówczas embargo na dostawy broni dla Czang Kaj-szeka; wywody autora na ten temat są całkowicie chybione. Interwenci w Rosji nie stoczyli „szeregu krótkich, lecz zaciekłych walk z bolszewikami" (s. 422); walk takich nie było prawie wcale. Wywodząc „gdyby Finlandia lub Jugosławia wykazały chęć dołączenia do NATO, prawdopodobnie zostałyby najechane przez Armię Radziecką" (s. 246), autor najwyraźniej nie wie, że w 1952 r. Tito zawarł sojusz z Grecją i Turcją, ówczesnymi członkami NATO.

Zasadniczo jednak potknięcia dotyczą raczej interpretacji wydarzeń niż faktów jako takich, trudno jest więc zaliczyć je *stricte* do kategorii błędów. Jak większość badaczy anglosaskich, Mearsheimer konsekwentnie informuje, iż Polska „napadła" na Rosję w 1920 r. (s. 87, 158, 230, 238), przy czym z kontekstu wynika, że w owym roku zaczęła się wojna polsko-bolszewicka (acz raz jeden [s. 422] podaje jej prawidłowe daty, 1919–1920, co oznacza nieuchronnie, iż Warszawa nie mogła w 1920 r. wojny rozpocząć). Nie potępia zresztą z tego powodu Polaków, zgodnie ze swoją zasadą, że zwycięzców się nie sądzi. Można, naturalnie, wywodzić, że jeśli w latach 1919–1920 legalne były granice z 1914 r., to rząd warszawski dopuścił się agresji *ipso facto* przez to, że rezydował w mieście będącym stolicą rosyjskiej guberni. Jeśli jednak Amerykaninowi o to nie chodziło (a chyba jednak nie), zaś rozbiory były nielegalne, to Polacy przed kampanią 1920 r. nawet nie przekroczyli granic sprzed pierwszego rozbioru, a więc nie mogli na Rosję napaść. W istocie Mearsheimer, jak prawie wszyscy historycy zachodni, utożsamia „Polskę" sprzed 1914 r. z Królestwem Kongresowym; w takim razie wszelkie próby wyjścia poza ten obszar postrzegane być muszą jako objaw niecnego imperializmu.

Amerykański autor powtarza kilkakrotnie, naturalnie za cytowaną (anglojęzyczną lub na język ten przełożoną) literaturą przedmiotu, że dla międzywojennej Francji pożyteczne byłoby antyniemieckie porozumienie z Moskwą i zastanawia się, dlaczego go nie zawarto. Pisze o Stalinie, który kierował się w tym czasie (podobno) strategią przerzucania odpowiedzialności, a także o tym, iż w Paryżu nie doceniano zagrożenia, skoro armia III Republiki była do 1939 r. najpotężniejsza w Europie (to prawda!), wreszcie kilka razy zauważa, iż decydenci francuscy (i brytyjscy) jakoby „liczyli, że Hitler uderzy najpierw na Związek Radziecki" (s. 375; por. też: s. 195, 379). Umyka jego uwadze – co kuriozalne – iż w okresie międzywojennym sojusz francusko-sowiecki jednak… zawarto. Stało się to 2 V 1935 r. Układ ten był właściwie od początku martwą literą, bowiem ZSRR nie posiadał z Niemcami wspólnej granicy. O problemach wynikających z braku takiej granicy Mearsheimer *nota bene* w kilku miejscach wspomina. W takim razie jednak i on, i wszyscy zwolennicy poglądu o rzekomej chęci „skierowania Hitlera na wschód" przez Paryż (i Londyn) muszą nieuchronnie zakładać, iż mocarstwa zachodnie pchały wówczas Warszawę do zawarcia sojuszu z Berlinem (i, *ipso facto*, do demontażu jej sojuszu z Paryżem), bo wszak tylko tą drogą Rzesza Niemiecka mogła przed wrześniem 1939 r. dosięgnąć terytorium ZSRR. Sformułowanie *explicite* owej myśli wystarcza dla obnażenia całej groteskowości wspomnianej teorii.

Tragizm polityki mocarstw oparty jest na imponującej literaturze przedmiotu, w tym (co istotne) na artykułach w czasopismach specjalistycznych. Pochwała ta

http://rcin.org.pl

wymaga jednak dwóch zastrzeżeń. Po pierwsze, właściwie wszystkie pozycje, do których odwołuje się autor, są anglojęzyczne. (Znalazłem tylko jeden wyjątek [s. 377, przypis 9], ale chodzi o pracę zawierającą dane statystyczne). Badacze publikujący w tym języku reprezentują wprawdzie olbrzymi wachlarz zainteresowań, ale mimo wszystko istnieją kwestie, którymi historycy publikujący w mowie Shakespeare'a mało się zajmują. Gdyby autor znał prace niemieckojęzyczne, nie artykułowałby, na przykład, obiegowego wśród historyków anglosaskich poglądu, jakoby rola armii austro-węgierskiej była w I wojnie światowej bez znaczenia, a armia ta stanowiła dla Niemiec „raczej obciążenie niż atut" (s. 87). (By zbliżyć się do prawdy, wystarczy zajrzeć choćby do znanych wspomnień gen. Maxa Hoffmana; dla anglosaskich geopolityków monarchia Habsburgów stała się wszelako bez mała *terra incognita* po jej wycofaniu się z Italii w 1866 r.). Badacze anglosascy nieczytający po francusku reprezentują też specyficzny stosunek do Napoleona i jego polityki. Abstrahując od (skądinąd widocznego) braku sympatii wobec cesarza, przeceniają rolę wydarzeń na Półwyspie Iberyjskim w klęsce Bonapartego (bo tylko na tym terytorium walczyły wojska brytyjskie), zaś konflikt francusko-rosyjski postrzegają jako element rozgrywki z Albionem.

Po drugie, wydaje się więcej niż pewne, iż sporą część przywoływanej w przypisach literatury autor gromadził nie osobiście, ale za pośrednictwem zespołu sekretarzy i współpracowników. (Jest to zjawisko coraz częstsze, choć tylko niektórych – jak Henry'ego Kissingera – stać na obwieszczenie o tym *expressis verbis*). W dobie Internetu i wobec ogromu anglojęzycznego piśmiennictwa łatwo w ten sposób nagromadzić oszałamiającą rozmiarami bibliografię. Nie twierdzę, iż Mearsheimer w ogóle nie miał w ręku większości przywoływanych pozycji – twierdzenie takie byłoby to dla niego krzywdzące – ale na pewno korzystał z nich nader wybiórczo. Niektóre z przywoływanych pozycji (wydany także w Polsce Kenneth Macksey jako biograf i interpretator Guderiana, studium Anthony'ego Reada i Davida Fishera o współpracy niemiecko-sowieckiej, kuriozalne tomy Bruce'a Cumingsa o genezie wojny koreańskiej, prace o stosunku USA do chińskiej wojny domowej pochodzące z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX w., itd., itp.) wydają się bowiem przypadkowe i po prostu słabe.

Uczciwie trzeba jednak stwierdzić, że wobec ogromu zagadnienia potknięć takich nie można uniknąć. Książka, o której mowa, nie jest podręcznikiem stosunków międzynarodowych, ale służyć ma wyłożeniu pewnej teorii pretendującej do miana uniwersalnej. Skupianie się na drobnych usterkach w wypadku recenzenta byłoby równie małostkowe, jak w wypadku słynnego dzieła Richarda Pipesa *Rosja carów*, poświęconemu genezie ustroju patrymonialnego w Rosji, koncentrowanie się na problemie, „czy Andrzej Bogolubski był ojcem czy dziadkiem Aleksandra Newskiego".

Problem polega na czym innym. Zapatrzony w mocarstwa rozstawione na światowej szachownicy John J. Mearsheimer, jak wielu teoretyków stosunków międzynarodowych, ignoruje zupełnie kwestie ideologiczne, a także czynnik personalny i po prostu przypadkowy. Krótko stwierdza, że „realizm ofensywny – jako teoria polityki międzynarodowej – pomija wpływ ideologii (jakichkolwiek) na zachowania państw" i przyznaje szczerze: „niewiele miejsca poświęcam wpływowi jednostek" (s. 473 i 12). Prawda: historycy i politolodzy niechcący, by ich dziedzinę badań uznano za „nienaukową", nie lubią mówić o przypadku i wpływie wybitnych indywidualności. Amerykański badacz doskonale wie, jaką rolę przypisuje się motywacji ideologicznej w poczynaniach francuskich jakobinów, rosyjskich bolszewików czy choćby Adolfa Hitlera. Niejako ostentacyjnie (por. s. 38) pomija jednak te sprawy. W tym aspekcie reprezentuje myślenie podobne jak Albert Sorel, uważający, iż jakobiński

http://rcin.org.pl

Komitet Ocalenia Publicznego w swej polityce zagranicznej kontynuował wytyczne Ludwika XIV, a Napoleon wytyczne Komitetu.

Ciekawe, że Mearsheimer niemal nie wspomina o rozbiorach Polski (traktowanych jako problem współpracy i rywalizacji miedzy mocarstwami), choć ramy chronologiczne jego pracy, zaczynającej się od wybuchu wojen rewolucyjnych w 1792 r., jak najbardziej obejmują owo zagadnienie wywracające zupełnie porządek europejski. Otóż „realizm ofensywny" sugerowałby czytelnie, iż Rosja powinna była nie dopuścić do zniknięcia swego słabego sąsiada. Wszak rozbiory nie tylko ograniczały rozmiary jej wpływów na zachodzie, nie tylko przesuwały terytoria dwóch mocarstw germańskich w pobliże jej granic (doprowadzając w końcu do powstania granicy wspólnej), ale także odciągały Berlin i Wiedeń od użytecznego zwalczania rozsadnika jakobinizmu na Sekwaną. Jeśli powodem postępowania Katarzyny II były pogarda dla Stanisława Augusta i osobista nienawiść do przywódców Sejmu Czteroletniego, to władczyni kierowała się czynnikami irracjonalnymi, a nie rosyjską *raison d'état*. Jak wiadomo, Paweł I mówił poniewczasie, że gdyby zasiadł na tronie przed 1793 r., nie dopuściłby do rozbioru. Niespodziewana śmierć Leopolda II, niechętnego rozbiorowi jednego z największych władców Austrii, zapewne miała też wpływ na postępowanie Wiednia. Wszystko to wskazuje na rolę czynnika osobistego i przypadkowego, traktowanego przez Mearsheimera niemal *per non est*.

Nad sprawą tą trudno przejść do porządku dziennego. Przykładowo wiadomo, iż objęcie władzy w Petersburgu przez Piotra III w 1762 r. spowodowało nagłe i szokujące wycofanie Rosji z koalicji, która niemal już odniosła zwycięstwo nad Prusami; mało tego, imperator zaoferował pomoc swych wojsk właśnie Prusom. Jest oczywiste, że gdyby nie Hitler, wojna niemiecko-sowiecka w ogóle by nie wybuchła, a przynajmniej nie wybuchłaby z inicjatywy Berlina; politycy niemieccy kontynuowaliby – szykując wojnę odwetową z Francją – kooperację z Kremlem, tak owocną wszak w dobie Republiki Weimarskiej. Gdyby nie rewolucyjny wybuch nad Sekwaną, u schyłku XVIII w. nie doszłoby wcale do wojny Francji z Europą. (*Nota bene* Mearsheimer napomyka kilkakrotnie, iż Austria i Prusy „wytoczyły Francji wojnę w roku 1792" [s. 417], uważając ją za słabą, gdy w rzeczywistości wojnę Austrii – konkretnie „królowi Czech i Węgier" – wydali 20 kwietnia rewolucjoniści, podobno i po to, by podsycić wygasające w kraju nastroje radykalne). Wojny rewolucyjne wygasłyby jednak definitywnie po zawarciu na początku XIX w. przez pierwszego konsula szeregu traktatów pokojowych. Wypadki potoczyły się inaczej, gdyż *idée fixe* monarchów stało się pozbawienie tronu „korsykańskiego uzurpatora" Napoleona. Wedle zasad „realizmu ofensywnego" Rosja powinna była wówczas dążyć do dzielenia się wpływami na kontynencie z Francją, która przed 1805 r. nie wyrastała jeszcze na supermocarstwo, za to szachowała położone między Paryżem a Petersburgiem mocarstwa germańskie. Jako jedyna mogła też rzucić wyzwanie Wielkiej Brytanii, na której uciążliwą przewagę na morzach carat nic nie mógł poradzić. W rzeczy samej cesarz Paweł I (bezsensownie uważany przez gros historiografii za szaleńca) podjął próbę kooperacji z pierwszym konsulem. Jego syn i następca (oraz zabójca), Aleksander I całkowicie przestawił jednak wytyczne, doprowadzając do wojny w 1805 r., po pogromie odmawiając zawarcia pokoju, a po kolejnej klęsce sabotując zawarty traktat i planując wojnę odwetową, czego skutkiem stała się konfrontacja w 1812 r. Historiografia (w tym polska) podkreśla, chyba nawet przesadnie, iż Napoleon gotów był zawsze do porozumienia z Rosją. Przekreśliła to osobowość Aleksandra I. Tymczasem autor albo ignoruje te kwestie, albo rozprawia się z nimi inaczej, tak jak na s. 309, gdzie informuje, iż wobec III Rzeszy „zmiana postawy USA nastąpiła w połowie 1940 r., gdy Niemcy zadali zdecydowana klęskę

http://rcin.org.pl

Francji". Postawy USA czy postawy Roosevelta? Czy gdyby w Białym Domu zasiadał prezydent-izolacjonista, ów przełom miałby miejsce?

Mearsheimer chętnie wyśmiewa – jak już wspomniano – puste, a szumne deklaracje demokratycznych rządów, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Niemal zawsze ma rację. Zdaje się jednak zapominać, iż w warunkach demokracji opinia publiczna – ograniczająca działania polityków, a niekiedy o takowych przesądzająca – istnieje równie realnie, jak dywizje wojska czy arsenały nuklearne. Gdy w 1938 r. w Monachium Francja uchyliła się od wojny z Niemcami – łamiąc zdradziecko zobowiązania sojusznicze wobec Czechosłowacji – premier Édouard Daladier wiedział doskonale, iż popełniono fatalny błąd. (Na widok witających go w Paryżu wiwatujących tłumów miał warknąć „cholerni głupcy"). Mimo tego „realizmu poglądów" zwyczajnie nie był w stanie sprzeciwić się rodakom (i podlegającym takim samym naciskom brytyjskim sprzymierzeńcom). Przywódcy mocarstw nie zawsze są w stanie realizować nakazy „realizmu ofensywnego", nawet gdy je dostrzegają. Cóż jednak zrobić, gdy ich nie dostrzegają, mimo że *post factum* wpływowi profesorowie uznają je za oczywiste? Przykładowo Mearsheimer obszernie opisuje inkubację w XIX w. ogromnej potęgi USA, które w trakcie owego stulecia zdominowały półkulę zachodnią. Słusznie stwierdza przy tym, iż w owym wieku czołową potęgą była Wielka Brytania, w istocie wówczas jedyne mocarstwo naprawdę światowe. Dlaczego jednak Brytyjczycy nie zmiażdżyli prewencyjnie Stanów Zjednoczonych w czasie, gdy względnie łatwo mogli to uczynić, zwłaszcza podczas stanowiącej wręcz bajeczną okazję wojny secesyjnej? Uczony z Chicago niemal prześlizguje się po owej kapitalnej kwestii, co u badacza anglosaskiego jest osobliwością. Raz tylko – na s. 435, i to w przypisie! – zamieszcza wyjaśnienie, które właściwie stanowi przyznanie się do bezradności. Oto Wielką Brytanię „bardziej niż wydarzenia na półkuli zachodniej zajmowały […] relacje z pozostałymi mocarstwami Europy". Czemu jednak mocarstwo zainteresowane głównie bezpieczeństwem zamorskiego imperium poniechało sprawy najważniejszej, skupiając się na sprawach stosunkowo drobnych (np., acz o tym autor nie pisze, na kwestii polskiego powstania styczniowego)? Otóż brytyjska opinia publiczna nigdy nie zaaprobowałaby interwencji przeciw państwu toczącemu wojnę na rzecz (jak powszechnie, acz błędnie przyjmowano) uwolnienia niewolników. Konfederacja musiałaby przed interwencją niewolnictwo znieść (do czego zresztą Londyn ją namawiał). Co więcej jednak, ówcześni decydenci z Whitehallu nie postrzegali w USA zagrożenia. Mimo tych czy innych zastrzeżeń w Amerykanach widziano „braci jednej krwi", niemal nieformalnych członków imperium, których tylko „przykre nieporozumienie" wypchnęło poza granice wspólnoty brytyjskiej. (Na ten temat istnieje zresztą ogromna literatura). Innymi słowy, w Londynie (i nie tylko) nie pojmowano założeń „realizmu ofensywnego".

Mearsheimer, co trzeba mu zaliczyć na plus, dostrzega problem polegający na tym, że Wielka Brytania i USA – mocarstwo najpotężniejsze gospodarczo przez większość XIX w. i mocarstwo, które z brytyjskich rąk przejęło w tej dziedzinie palmę pierwszeństwa – nie próbowały zdominować Europy (*casus* brytyjski) ani przynajmniej wysłać na ten kontynent wojsk przed 1914 r., aby przywrócić zachwianą równowagę. (Stawia te pytania już na początku książki, na s. 8). Jego odpowiedź – klasyczna poprawka do przyjętego paradygmatu – polega na zaakcentowaniu roli przeszkody wodnej. Oto Wielka Brytania jest wyspą, a USA – „wyspą w praktyce", więc przerzucanie sił przez przeszkody wodne okazałoby się dla tych mocarstw niezmiernie kłopotliwe. Z dziejów wojen rewolucyjnych i napoleońskich Mearsheimer przytacza przykłady fatalnie przeprowadzonych przez stronę brytyjską desantów, zaznaczając,

http://rcin.org.pl

iż te udane (w Egipcie w 1800 r. czy na Krymie w 1854 r.) miały miejsce albo wobec przeciwnika zdemoralizowanego, albo niezdolnego strzec długiej linii wybrzeża. Ale przez cały wiek XIX Brytyjczycy (nazbyt pochopnie uznawani za tych, którzy nie zawierają aliansów w czasie pokoju) pozostawali w sojuszu z Portugalią; czyż nie mogli wysadzić tam, kiedy tylko chcieli, stworzonej zawczasu na swej wyspie wielkiej armii? Ostatecznie zrobili tak przecież w 1808 r., rozpoczynając kampanię, która wyparła Francuzów za Pireneje. Zapytać też można, dlaczego nie poszukali sobie innego alianta-przyczółka (np. Holandii lub Danii)? W rzeczywistości przeszkoda wodna się liczyła, ale w innym sensie. Uznawana za arcybarykadę, umacniała oba mocarstwa anglosaskie w ich polityce *splendid isolation*. I Londyn, i Waszyngton – pierwszy w Europie, drugi poza półkulą zachodnią – uprawiały „imperializm nieterytorialny". Ich przywódcy rozumowali inaczej niż rosyjscy czy niemieccy.

W ostatnim rozdziale, będącym próbą prognozy na przyszłość, autor usiłuje odpowiedzieć na pytanie, do czego doprowadzi zarysowująca się coraz czytelniej rywalizacja USA i Chin. (Nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż głośny Samuel Huntington zapowiadał zbrojne zderzenie tych potęg w 2010 r.). Jest to, jak w całym dziele Mearsheimera, mieszanina sądów błyskotliwych i bardzo dyskusyjnych. Ma niemal w stu procentach rację, wyszydzając rzekomy „konfucjański pacyfizm" i wiarę, że ożywiona współpraca handlowa wykluczy wojnę. (W tym kontekście przypomina – w innym miejscu, na s. 484 – jak ścisłe więzy handlowe łączyły mocarstwa przed 1914 r.; przecenia tu jednak wpływ antagonizmu brytyjsko-niemieckiego na wybuch wojny). Przepowiada też, jak się wydaje trafnie (bo na razie nie sposób tego zweryfikować), iż rosnąca potęga Pekinu skłoni słabszych sąsiadów ChRL do współpracy z Białym Domem. W wypadku Singapuru, Indii, Indonezji, a nawet Wietnamu (tak!) symptomy takiego zwrotu już widać. Mearsheimer, nader logicznie, ale tylko logicznie, zalicza też do tego grona Rosję (s. 431, 456). Niestety, wszelkie posunięcia Moskwy (por. choćby: Michał Lubina, *Niedźwiedź w cieniu smoka. Rosja-Chiny 1991–2014*, Kraków 2014) ukazują zjawisko nielogiczne, ale za to konsekwentne – rosyjską chęć współpracy z Pekinem przeciw Waszyngtonowi. Ponieważ za zepchnięcie Rosji do roli mocarstwa drugorzędnego w lwiej części odpowiedzialna jest właśnie ChRL, fenomen ten należy powiązać z czynnikami irracjonalnymi – faktem, że Chińczycy, jako komuniści, nie świętowali upadku ZSRR i nie robili władzom na Kremlu wykładów o prawach człowieka. Nawiasem mówiąc, „realizm ofensywny" jasno nakazuje mocarstwu współpracę ze słabszym sąsiadem przeciw silniejszemu, z czego wynika, że Rosja powinna popierać Japonię przeciwko Chinom. Jest jednak odwrotnie…

Jako obywatel kraju, w którym elita polityczna pokrywa się w znacznym stopniu z elitą biznesową, Mearsheimer przecenia też ogromnie wpływ czynnika gospodarczo-finansowego na politykę mocarstw. Oczywiście w erze nowożytnej możliwości wojskowe potęg zależą w sposób trudny do przecenienia właśnie od tej sfery: pytanie tylko, na ile determinuje to poczynania ich przywódców? Przykładowo autor *Tragizmu polityki mocarstw* kilkakrotnie akcentuje rolę lat 1902–1903, kiedy to (jakoby dopiero wtedy, s. 363, 416, 418) gospodarka cesarskich Niemiec przegoniła gospodarkę brytyjską. Mniejsza już o to, że wiele źródeł (choćby autorzy cytowani przez Kennedy'ego) twierdzi, iż owa zmiana ról nastąpiła znacznie wcześniej, może jeszcze w latach osiemdziesiątych XIX w. Problem jednak w tym, czy decydenci w Poczdamie, śledzący raczej liczbę dywizji niż wskaźniki produkcyjne, zarejestrowali coś istotnego w 1902 r. (poza podpisanym wtedy sojuszem anglo-japońskim). Jeszcze bardziej ów sposób myślenia daje o sobie znać w rozważaniach o potędze sowieckiej w latach trzydziestych, którą

http://rcin.org.pl

Mearsheimer uważa za „zacznie potężniejszą gospodarczo i militarnie od carskiej Rosji" (s. 384, także 386; dowodem tej przewagi ma być klęska Rosji z rąk Japonii w latach 1904–1905 [s. 364] – w takim razie czego dowodzi przebieg wojny fińskiej?). Otóż – abstrahując od prawdziwości faktu samego w sobie – autor jest przekonany, iż Francuzi i Brytyjczycy podzielali jego mniemanie. Dlaczego w takim razie – istnieje na to mnóstwo dowodów – uważali ówczesną Armię Czerwoną za słabszą od armii polskiej? Dlaczego w okresie „dziwnej wojny" mniemali, iż operacje przeciw kooperującemu wtedy z Hitlerem Stalinowi będą łatwiejsze niż przeciw III Rzeszy?

Odpowiedź jest prosta: alianccy eksperci, rozważając różne opcje, brali pod uwagę nie tylko liczbę czołgów i samolotów, ale i wpływ stalinowskich czystek, doświadczenie bojowe oficerów, poziom umysłowy marszałków Woroszyłowa i Budionnego, potem także doświadczenia wojny fińskiej. Dotyczyło to naturalnie nie tylko Rosji. Na s. 363 autor cytuje aprobatywnie opinie, iż przed 1914 r. eksperci wojskowi „uważali armie francuską i niemiecką za niezrównane". Przyznam, iż niewiele poznałem takich konkluzji. Znam natomiast powszechne ówcześnie mniemanie, że mimo świetnych tradycji wojskowych i niezłego technicznie wyposażenia armia III Republiki znajdowała się w rozkładzie, czego dowodzić miała choćby afera Dreyfusa (i inne skandale, jak „afera fiszek").

Z racji moich własnych zainteresowań badawczych za ciekawe uznaję uwagi o genezie wojny amerykańsko-japońskiej w 1941 r. Autor ma stuprocentową rację, wskazując, że przyczyną zarządzonych przez Roosevelta naftowych sankcji, potraktowanych przez kierownictwo japońskie jako wiodącą do wojny prowokację, nie były poczynania Cesarstwa w Azji, ale obawa, że uderzając latem 1941 na Sowiety, przypieczętuje ono zagładę bolszewizmu (s. 271, 316). Dorzuca jednak zupełnie bezzasadnie, iż nota amerykańska z 26 listopada żądała od Tokio wycofania się nie tylko z Indochin i Chin, ale i z Mandżurii (s. 270 i 271). W rzeczywistości o Mandżukuo nie było mowy, a to, że gabinet Tōjō powziął takie przekonanie, stanowi fakt zagadkowy i zdumiewający. Zastanawia natomiast szczególna pobłażliwość autora wobec decydentów z Tokio, których ówczesny wybór (wedle Mearsheimera) „nie świadczy o bezrozumnym, pędzie do narodowego samobójstwa, lecz raczej o długiej i bolesnej debacie wobec pytania, którą z dwóch okropnych opcji należy wybrać" (s. 272). Otóż przywódcy, dla których autor jest tak wyrozumiały, dokonując coraz zuchwalszych agresji w stylu pokerowej zagrywki, wpędzili się wreszcie w sytuację bez wyjścia. 50 lat przed Pearl Harbor, w 1895 r., gdy ultimatum trzech mocarstw pozbawiło Japonię owoców zwycięstwa nad Chinami, cesarz Meiji i jego doradcy uznali, że warunki owe – wobec stosunku sił – należy przyjąć. Ich następcy, w istocie nie mając sojuszników, wybrali wojnę z przeciwnikiem dziesięciokrotnie silniejszym. Nie był to bezrozumny pęd do samobójstwa?

Skupianie się na błędach, potknięciach i wątpliwych twierdzeniach autora jest smutnym obowiązkiem recenzenta. Pamiętać jednak trzeba, iż nie ma teorii bez wyjątków, a niewielka liczba tych ostatnich nie może być dowodem jej nieprawdziwości. Dla piszącego te słowa lektura książki Johna J. Mearsheimera była przedsięwzięciem niebywale denerwującym, wywołującym raz po raz odruchy irytacji i sprzeciwu, ale *summa summarum* pasjonującym. Czy praca ta będzie cytowana i zmieni nasz sposób myślenia? Przypomnijmy, iż zalecenia „realizmu ofensywnego" formułował w zaczątkowej formie już Tukidydes, pisząc, iż przyczyną wojny peloponeskiej były potęga Aten i strach, jaki wzbudzała ona w Sparcie. Pozostali badacze dali tylko przypisy.

Jakub Polit
Kraków

http://rcin.org.pl

Oleh Razyhrayev, *Policja Państwowa w województwie wołyńskim w okresie międzywojennym*, Warszawa 2019, Wydawnictwo IPN, ss. 455

I

Przełom 1989 r. przyniósł niesłabnący do dziś wzrost zainteresowania dziejami Policji Państwowej (PP) w okresie międzywojennym. Lista monografii i artykułów, które poświęcono różnym aspektom funkcjonowania tej formacji, liczy sobie już sto kilkadziesiąt pozycji. Obok sztandarowej pracy Andrzeja Misiuka z połowy lat dziewięćdziesiątych XX w., której wydanie można traktować jako swoisty akt założycielski polskiej szkoły badań nad policją, doczekaliśmy się kilku opracowań poświęconych PP w poszczególnych województwach, powiatach i miastach[1]. Do grona badaczy, którzy niestrudzenie zgłębiają dzieje międzywojennej policji, od wielu lat należy Oleh Razyhrayev, historyk związany z Wołyńskim Uniwersytetem Narodowym Ukrainy im. Łesi Ukrainki, autor recenzowanej w tym miejscu monografii. W 2010 r. Razyhrayev obronił na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej rozprawę doktorską pt. „Policja Państwowa w województwie wołyńskim w latach 1919–1939". Warto w tym miejscu dodać, że dysertacja została wyróżniona w Konkursie im. Władysława Pobóg-Malinowskiego na Najlepszy Debiut Historyczny w 2010 r. W tej sytuacji wydawało się, że jej publikacja to tylko kwestia czasu. Tymczasem musiała minąć blisko dekada, by ta oczekiwana nie tylko przez historyków zajmujących się dziejami policji praca mogła ujrzeć światło dzienne. Wydana przez Instytut Pamięci Narodowej monografia pozostaje więc opracowaniem, któremu ostateczny kształt nadano co najmniej kilka lat temu[2]. Świadczy o tym m.in. brak w bibliografii kilku pozycji, które ukazały się po 2011 r.[3]

II

Praca składa się z trzech rozdziałów. Rozdział I to analiza funkcjonowania policji wołyńskiej w latach 1919–1926, rozdział II konsekwentnie dotyczy okresu 1926–1939. Przy czym obydwa mają bardzo podobną konstrukcję. Rozdział III to próba zwięzłej

[1] A. Misiuk, *Policja Państwowa 1919–1939. Powstanie, organizacja, kierunki działania*, Warszawa 1996; B. Sprengel, *Policja Państwowa w Toruniu 1920–1939*, Toruń 1999; R. Litwiński, *Policja Państwowa w województwie lubelskim w latach 1918–1939*, Lublin 2001; J. Mikitin, G. Grześkowiak, *Policja województwa śląskiego 1922–1939*, Piekary Śląskie 2008; D. Buras, *W służbie wolnej Polski. Organizacja i działalność Policji Państwowej w województwie kieleckim w latach 1919–1939*, Toruń 2014; K. Halicki, *Dzieje policji w Gniewie i regionie w latach 1920–2013*, Bydgoszcz 2014.

[2] W tym czasie autor opublikował kilka artykułów, w których starał się szczegółowo analizować wybrane problemy poruszane tak w rozprawie doktorskiej, jak i te, które znalazły się w książce (m.in. badania dotyczące przestępczości na Wołyniu). O. Razyhrayev, *Przestępczość kryminalna na południowo-wschodnich terenach Drugiej Rzeczypospolitej (Wołyń oraz Galicja Wschodnia) w latach 1921–1926*, w: *Margines społeczny Drugiej Rzeczypospolitej*, seria: „Metamorfozy społeczne", nr 6, red. M. Rodak, Warszawa 2013, s. 161–183.

[3] Zob. m.in.: *Policja Państwowa w Drugiej Rzeczypospolitej. Wybrane aspekty organizacji i funkcjonowania*, red. A. Tyszkiewicz, Kraków 2015; A. Głogowski, *Policja Państwowa i inne instytucje bezpieczeństwa na Wileńszczyźnie w latach 1918–1939*, Kraków 2015; R. Litwiński, *Kordian Józef Zamorski. „Granatowy generał"*, Lublin 2018.

http://rcin.org.pl

charakterystyki korpusu PP na Wołyniu. W pracy znalazło się również blisko 60 opracowanych przez autora biogramów, o różnym stopniu szczegółowości, funkcjonariuszy służących w PP w województwie wołyńskim. Książkę kończy bibliografia, z niewielkimi wyjątkami poprowadzona jednak tylko do 2011 r. Otrzymujemy także niezwykle przydatne indeksy nazwisk i miejscowości oraz wykazy tabel i skrótów. Ostatnim akcentem jest zbiór blisko 50 fotografii pochodzących z różnych kolekcji.

Autor zdecydował się na układ problemowy, przy czym – jak widać – dwa pierwsze rozdziały omawiające analogiczne wątki rozdzielono cezurą czasową. Nie jest to, moim zdaniem, wybór trafny. Analizy kilku wątków, które mają własną dynamikę i dotyczą różnych sfer życia, nawet jeśli są związane z tą samą instytucją, nie należy podporządkowywać jednemu kryterium, w tym wypadku polityce. Zdaję sobie sprawę, że wybór innego rozwiązania mógłby skutkować zarzutem o kopiowanie sprawdzonych pomysłów[4]. Przy czym Razyhrayev otwarcie przyznaje się do inspiracji pracą Roberta Litwińskiego. Niemniej, w odróżnieniu od lubelskiego historyka, część omawianych kwestii zdecydował się rozdzielić cezurą czasową i referować je rozłącznie. Zabieg ten nie tylko utrudnia lekturę pracy, ale prowadzić może również do błędnego wniosku, że rok 1926 stanowił istotny moment przełomowy na wszystkich poziomach funkcjonowania policji.

Wybór zaproponowanej daty granicznej pozornie mógłby wydawać się decyzją właściwą. Przypomnijmy, że w lipcu 1926 r. na mocy rozporządzenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych dokonano m.in. reorganizacji służby śledczej, która przejęła zadania zlikwidowanej wówczas Policji Politycznej. Zmiany z 1926 r. doprowadziły do sytuacji, w której, jak pisze znawca problematyki, „można mówić o PP jako instytucji w pełni jednolitej i obejmującej całość służby bezpieczeństwa publicznego”[5]. Rzeczywiste ujednolicenie struktury PP, które gwoli ścisłości nastąpiło oficjalnie w 1928 r.[6], choć wpływało w pewnym stopniu na charakter funkcjonowania instytucji, traktować należy jednak jako etap trwającego od 1919 r. procesu modernizacji policji[7]. Zasadniczym celem władz, bez względu na ich polityczną proweniencję, pozostawało stworzenie jednolitej, sprawnie funkcjonującej formacji, którą, jak pokazała przyszłość, policja w rzeczywistości się stała. Nie zmienia to oczywiście faktu, że wielokrotnie wykorzystywano ją, tym bardziej po 1926 r., jako narzędzie w walce politycznej.

Niestety Razyhrayev nie wyjaśnia powodów podjętej przez siebie decyzji. Przypuszczalnie u jej podstaw leży nie do końca oczywisty, przynajmniej w opinii recenzenta, pogląd, który zdaje się podzielać autor monografii, o istotnym znaczeniu dla badanej materii przełomu politycznego z 1926 r. Działalność policji to jednak nie tylko inwigilacja legalnych i nielegalnych ruchów politycznych, z którą mieliśmy do czynienia również przed przewrotem majowym, ale także, a może przede wszystkim obowiązek

---

[4] Lubelski historyk zastosował podział problemowy. Przy czym nie sposób uciec i od chronologii. Ta jednak nie determinuje w tak istotny sposób relacji o PP, jak ma to miejsce w monografii dotyczącej policji wołyńskiej. Również w pracy Misiuka z połowy lat dziewięćdziesiątych został przyjęty układ problemowy, a jedyną wyraźnie wydzieloną cezurą pozostaje rok 1922, w którym kończy się kształtowanie organów PP w całym kraju.

[5] M. Mączyński, *Zasady naboru i kwalifikacji kandydatów do służby w Policji Państwowej w latach 1919–1939*, w: *Policja Państwowa w Drugiej Rzeczypospolitej…*, s. 51.

[6] R. Litwiński, *Policja Państwowa…*, s. 37.

[7] Nie bez znaczenia były również inne motywacje. Oficjalna likwidacja PP miała, przynajmniej na poziomie odbioru społecznego, świadczyć o apolityczności formacji. Por. idem, *Korpus policji w II Rzeczypospolitej. Służba i życie prywatne*, Lublin 2010, s. 274 i n.

http://rcin.org.pl

zwalczania przestępczości kryminalnej i w tym zakresie rok 1926 niewiele przecież zmieniał. Można i należy spierać się o zakres i charakter zaangażowania PP w bieżącą politykę czy kwestię jej – właściwie rzekomej – apolityczności po przewrocie majowym, niemniej w pracy Razyhrayeva próżno szukać tego typu dywagacji[8]. *A priori* przyjmuje autor za istotny w tej materii podział na Polskę przed i pomajową, posługując się schematem, z którego kostyczności sam poniekąd zdaje sobie sprawę. Możemy się o tym przekonać, kiedy czytamy powtarzane w wielu miejscach książki sformułowania o kontynuacji różnych form działalności PP po 1926 r. (s. 192). Proces podporządkowywania policji sanacji toczył się kilka lat, co zresztą doskonale pokazuje przykład wołyński. Jeśli koniecznie zależy nam na periodyzacji, wydaje mi się, że w przypadku policji w województwie wołyńskim momentów węzłowych szukać należy gdzie indziej.

III

Dwa pierwsze rozdziały, jak wspomniałem, zbudowane są według bardzo podobnego schematu, przy czym pierwszy dodatkowo zawiera obszerny *passus* poświęcony funkcjonowaniu i organizacji struktur bezpieczeństwa na Wołyniu przed 1919 r. W rozdziale tym odnaleźć możemy również podrozdział (ostatni), w którym Razyhrayev omawia krótki epizod z historii wołyńskiej policji, jakim był obowiązek ochrony wschodniej granicy Rzeczypospolitej w pierwszej połowie lat dwudziestych[9].

W obydwu rozdziałach znalazły się podrozdziały prezentujące rozwój organizacji terytorialnej PP na Wołyniu. Są to drobiazgowe sprawozdania prezentujące zmiany w stanie osobowym komendy wojewódzkiej, komend powiatowych, komisariatów oraz w pojedynczych przypadkach posterunków, a także opisy ewolucji granic (względnie adresów) wspomnianych jednostek terytorialnych PP. W gąszczu zmieniających się nazwisk, stopni, funkcji, a także miejscowości czy ulic stosunkowo łatwo można się pogubić. W kilku przypadkach, kiedy mowa np. o funkcjonariuszach, mamy do czynienia z osobami, które pełniły wiele funkcji na różnych stanowiskach, nierzadko wtedy awansując (tytułem przykładu: Adolf Kret, Wiktor Górczyński, Marian Makowiecki, Korneliusz Disterhoff). Co istotne, dotyczy to funkcjonariuszy, którzy pełnili służbę w PP tak przed, jak i po 1926 r. Kilka osób pojawia się więc w rozdziale I, by wrócić ponownie w II. Zastosowany przez Razyhrayeva podział narracji utrudnia konsekwentne śledzenie zmian kadrowych (wielokrotne powroty ze stron 158–169 do stron 41–50 celem odszukania konkretnych postaci nie ułatwiały lektury pracy). Wydaje się, że część danych osobowych zawartych w tych podrozdziałach, tak rozdziału I, jak i II, dla większej przejrzystości można byłoby zaprezentować np. w formie tabel w aneksach[10]. Rozwiązanie to oczywiście ma sens, jeśli pozostajemy przy zaproponowanym podziale na dwa okresy.

[8] Jednym z ostatnich głosów w tej dyskusji pozostają rozważania zawarte w monografii poświęconej buntom społecznym podczas kryzysu lat trzydziestych. Por. P. Cichoracki, J. Dufrat, J. Mierzwa, *Oblicza buntu społecznego w II Rzeczypospolitej doby Wielkiego Kryzysu (1930–1935). Uwarunkowania, skala, konsekwencje*, Kraków 2019, s. 263 i n.

[9] Mowa o latach 1923–1924, a właściwie okresie od 1920 r. do momentu powołania Korpusu Ochrony Pogranicza (por. s. 143–158).

[10] Przypomnijmy, że Litwiński dane te, konsekwentnie dla wszystkich komend powiatowych od 1919 do 1939 r., przedstawił w jednym miejscu. Podobnie jak miało to miejsce w przypadku obsady Komendy Wojewódzkiej Policji Państwowej w Lublinie. Por. R. Litwiński, *Policja Państwowa…*, s. 74–75, 91–94.

http://rcin.org.pl

Warto również przy okazji omawiania rozmieszczenia terytorialnego i zmian granic wykorzystać przynajmniej schematyczne mapy, które prezentowałyby etapy kolejnych dyslokacji. Przy czym nadal pozostaje otwarte pytanie o zasadność wprowadzonego podziału. W podrozdziale z rozdziału I dowiadujemy się m.in., że w 1925 r. ukształtował się podział na 10 komend powiatowych. W podrozdziale z rozdziału II, który dotyczy tej samej tematyki, nie pozostaje nic innego jak tylko to twierdzenie powtórzyć, co też autor czyni (s. 50, 161). To tylko jeden z wielu tego typu przykładów.

Niewykluczone, że wykonanie tych dwóch prostych czynności (przygotowanie tabel w aneksach i map) zwolniłoby autora z obowiązku wyliczania, rozdzielonego cezurą 1926 r., kolejnych komendantów poszczególnych jednostek terytorialnych wołyńskiej PP, czasem powtarzania tych samych informacji. Pozwoliłoby natomiast w szerszym zakresie zastanowić się nad specyfiką np. polityki kadrowej, co autor stara się robić w jednym z podrozdziałów rozdziału III.

Kolejne podrozdziały, tak w rozdziale I, jak i II, dotyczą funkcjonowania służby śledczej, przy czym w rozdziale I autor omawia oddzielnie działalność zlikwidowanego w 1926 r. Okręgowego Urzędu Policji Politycznej (OUPP) w Łucku (w tym wszystkich jego poprzednich wcieleń). Ponownie otrzymujemy systematyczny wykład poświęcony przeobrażeniom administracyjnym oraz zmianom składu osobowego, głównie na szczeblu kierowniczym. Jednocześnie autor opisuje zasadnicze problemy, z którymi borykała się wołyńska służba śledcza oraz do 1926 r. OUPP, czyli permanentne niedoinwestowanie, braki w uzbrojeniu, kłopoty kadrowe – tak ilościowe, jak i jakościowe.

W przypadku rozdziału I obszerną, a w przypadku rozdziału II największą część zajmuje opis roli PP jako organu nadzorującego życie społeczne i polityczne, w tym wykorzystywanego do zwalczania nielegalnej działalności politycznej. Razyhrayev relacjonuje chronologię działań policji w zakresie ograniczania/ zwalczania aktywności politycznej tak legalnych, jak i nielegalnych stowarzyszeń ukraińskich oraz inspirowanych przez m.in. Komunistyczną Partię Zachodniej Ukrainy nielegalnych organizacji komunistycznych. Zagadnieniom tym poświęcono w monografii wyjątkowo dużo miejsca (podrozdział dotyczący zwalczania nielegalnego ruchu politycznego w rozdziale obejmującym okres po 1926 r. stanowi ponad połowę jego zawartości). To w dużej mierze efekt bogatej literatury przedmiotu, a także obfitości zachowanych źródeł. W obu przypadkach licznie cytowanych. Żałować należy, że w wielu miejscach bez słowa komentarza.

Podrozdziały mają charakter chronologicznej relacji o kolejnych akcjach policji, bądź to o charakterze prewencyjnym, bądź represyjnym. Autor przytacza liczne wewnętrzne opinie policji na temat nielegalnych ruchów politycznych. Jednocześnie wiele miejsca poświęca na odtworzenie kolejnych etapów aktywności działających na Wołyniu organizacji komunistycznych i nacjonalistycznych. Wydaje się, że z racji istnienia bogatej literatury tematu można było z tak szczegółowego opisu zrezygnować. Praca znacznie zyskałaby na przejrzystości, gdyby autor wyłącznie naszkicował zarys sytuacji politycznej na Wołyniu, a za pomocą kilku przykładów zaprezentował specyfikę zaangażowania PP na tym terenie. Przede wszystkim w okresie, kiedy wojewodą wołyńskim był Henryk Józewski. Wydaje się bowiem, że to 1929 r., w którym rozpoczęto praktyczną realizację założeń polityki Józewskiego, stanowi ważniejszą cezurę w dziejach policji wołyńskiej, a nie zaproponowany przez autora rok 1926[11].

[11] W. Mędrzecki, *Kresowy kalejdoskop. Wędrówki przez ziemie wschodnie Drugiej Rzeczypospolitej 1918–1939*, Kraków 2018, s. 259.

http://rcin.org.pl

Prób głębszej charakterystyki działań PP, poza relacją ze źródeł i systematycznym spisem kolejnych operacji, z uwzględnieniem specyfiki regionu, niestety w pracy Razyhrayeva brakuje.

Tymczasem, jak wynika z badań przeprowadzonych przez autorów monografii *Oblicza buntu społecznego…*, na Wołyniu doszło do największej liczby wystąpień na tle politycznym w czasie kryzysu lat trzydziestych[12]. Doprowadziło to do sytuacji, w której w województwie wołyńskim, obok krakowskiego i kieleckiego, policjanci pacyfikujący antypaństwowe wystąpienia najczęściej w skali całego kraju sięgali po broń[13]. To natomiast generowało wysoką liczbę ofiar[14]. Warto dodać, że autorzy *Obliczy buntu społecznego…* widzą wyraźną korelację między skalą i charakterem reakcji PP na wystąpienia społeczne a kolejnymi latami sprawowania na Wołyniu urzędu wojewody przez Józewskiego. Jednocześnie próbują odpowiedzieć na pytanie o przyczyny tej sytuacji. Zwracają uwagę na szereg możliwych czynników: poziom agresji protestujących, reakcję na użycie przez nich siły, nasycenie terenu policją, jego geografię, specyfikę (wieś – miasto), braki kadrowe, niewłaściwą ocenę sytuacji, presję polityczną itd. W pracy Razyhrayeva systematyczną relację ze źródeł obrazujących kolejne przykłady działań prewencyjnych lub represyjnych kończy garść ogólników. Złożony problem, jakim były relacje na styku państwa i społeczeństwa, a w tym wypadku również rola policji, przedstawia autor w kategoriach sporu czysto politycznego (względnie narodowościowego), o kontekście społecznym i wszelkich towarzyszących temu niuansach (choćby zróżnicowanie regionalne Wołynia) zdaje się zapominać. Przy czym, o tym szerzej niżej, opisując ówczesną rzeczywistość, Razyhrayev niezmiennie zachowuje daleko posunięty obiektywizm. Prezentowana przez historyka postawa to niewątpliwy atut recenzowanej monografii.

W rozdziale I przedostatni[15], a w rozdziale II ostatni podrozdział poświęcone zostały omówieniu zwalczania przestępczości kryminalnej. Autor powraca do rozważań na temat braków kadrowych, niskiej jakości wyszkolenia funkcjonariuszy, a także, *last but not least*, licznych nadużyć (stosowanie przemocy w stosunku do podejrzanych, korupcja, zastraszanie), których dopuszczali się funkcjonariusze policji. Efektem owych mankamentów pozostawać miało ograniczone zaufanie do policji, a w konsekwencji śladowa skuteczność w działaniu, na polu zarówno prewencji, jak i represji.

W obydwu podrozdziałach przedstawiony został stan bezpieczeństwa, w tym statystyka przestępczości, w której szczególnie wiele miejsca poświęcono na omówienie skali natężenia najczęściej występujących przestępstw. Żałować należy, że nie podjęto próby prezentacji tych zjawisk w szerszym kontekście. Z tekstu dowiemy się bowiem, że najczęściej popełnianym przestępstwem pozostawała na Wołyniu kradzież. To wówczas zjawisko typowe dla całego kraju, jak i poszczególnych regionów. Nie dowiemy się już jednak, że w skali kraju w województwie wołyńskim rejestrowano najniższe wskaźniki natężenia tego rodzaju przestępstwa[16]. Warto być może dodać, że generalnie odnotowywano tam najniższy w kraju współczynnik przestępczości,

[12] P. Cichoracki, J. Dufrat, J. Mierzwa, op. cit., s. 177.

[13] Ibidem, s. 267.

[14] Ibidem, s. 273.

[15] Ostatni poświęcony został działalności PP w zakresie ochrony granicy wschodniej. Zob. rozważania wyżej.

[16] K. Krajewski, *Przestępczość w II Rzeczpospolitej w świetle danych statystycznych*, „Archiwum Kryminologii" 2012, t. XXXIV, s. 560.

http://rcin.org.pl

tak w latach dwudziestych, jak i trzydziestych[17]. Wydaje się więc, że obszar ten pozostawał względnie bezpieczny w przypadku przestępczości kryminalnej (z jednym wyjątkiem – bandytyzm), jednocześnie niezwykle burzliwy w przypadku – mówiąc kolokwialnie – przestępczości politycznej. To w dużym stopniu także może tłumaczyć obserwowane w książce proporcje.

Autor prezentuje szerzej kilkanaście najważniejszych spraw kryminalnych, głównie dotyczących licznie działających na Wołyniu band. Omawia udział PP w ich likwidacji. Podkreśla wielokrotnie, że w kwestii zjawiska bandytyzmu mamy do czynienia z fenomenem niezwykle złożonym. Funkcjonujące bowiem na Wołyniu organizacje przestępcze nierzadko balansowały na granicy między działalnością *stricte* polityczną a pospolitą, często brutalną, przestępczością rabunkową (s. 250–255).

W przypadku przestępczości kryminalnej podział na okres do i po 1926 r. wydaje mi się szczególnie nienaturalny. Skutecznie uniemożliwia systematyczne śledzenie zmian w perspektywie całego dwudziestolecia. Natężenie przestępczości kryminalnej (pospolitej) zależało wówczas przede wszystkim od zmian koniunktury, szczególnie w czasie kryzysu ekonomicznego lat trzydziestych, a nie od bieżących wydarzeń politycznych[18].

IV

Rozdział III poświęcił Razyhrayev na prezentację kilku zagadnień dotyczących charakteru i specyfiki funkcjonowania miejscowego korpusu PP. Autor omówił kolejno stan liczebny, źródła rekrutacji, system szkolenia i podnoszenia kwalifikacji funkcjonariuszy. Historyk nakreślił jednocześnie szkicową charakterystykę korpusu. Uwzględnił w niej takie kwestie, jak przynależność narodowa, wyznaniowa czy terytorialna. Istotną część rozważań poświęcił na omówienie problemów z dyscypliną (wymienił liczne przykłady wykroczeń). Żałować należy, że nie zdecydował się jednak na głębszą analizę prozopograficzną.

Jest to historia w zasadzie wyłącznie mężczyzn. W wołyńskiej PP rzeczywiście służyło tylko kilka kobiet, w większości przypadków urzędniczek. Pojawiające się na kartach książki kobiety to głównie żony policjantów. Generalnie problematyka gender interesuje autora monografii w stopniu znikomym (pojedyncza tabela z wykazem funkcjonariuszek PP w województwie wołyńskim) (s. 287).

W podrozdziale „Materialne warunki wypełniania obowiązków służbowych" poruszył autor zagadnienia dotyczące sytuacji finansowej policji wołyńskiej, w tym takie problemy, jak uposażenie, opieka lekarska, działalność stowarzyszeń samopomocowych (obszerny *passus*), umundurowanie, uzbrojenie oraz dostępność i jakość środków transportu. W krótkim, przedostatnim podrozdziale rozdziału III znaleźć możemy garść informacji dotyczących życia społeczno-kulturalnego policji wołyńskiej. Autor opisał funkcjonowanie policyjnych świetlic, bibliotek czy orkiestry oraz działalność społeczną samych funkcjonariuszy, jak i członków ich rodzin (m.in. stowarzyszenie Rodzina Policyjna). Nakreślił także kilka zdań na temat aktywności sportowej funkcjonariuszy PP.

Ostatni rozdział wieńczy wyjątkowo krótka próba analizy społecznego odbioru roli policjanta i całej PP. To jeden z najciekawszych problemów, któremu należało

[17] L. Radzinowicz, *Przestępczość w Polsce w latach 1924–1933 na podstawie policyjnej statystyki kryminalnej*, „Archiwum Kryminologiczne" 1935/1937, t. II, z. 1–2, s. 96.

[18] W jakimś stopniu również od metodologii stosowanej przy okazji prowadzenia obliczeń statystycznych oraz zmian w prawie. Por. K. Krajewski, op. cit., s. 534–536.

http://rcin.org.pl

poświęcić nieco więcej miejsca. Tymczasem tę wyjątkowo złożoną materię próbuje autor podsumować zbiorem cytatów zaczerpniętych z wewnętrznych dokumentów policyjnych pochodzących z połowy lat dwudziestych (w zasadzie wyłącznie z 1925 r.) oraz kilku wyjątków zaczerpniętych z prasy ukazującej się w latach trzydziestych, a więc podlegającej już kontroli cenzury. Przy czym wiele z przytaczanych dokumentów powstało na szczeblu centralnym, a zawarte w nich wnioski dotyczyły obrazu policji w całym kraju. Pamiętać również należy, że wewnętrzne próby analizy odbioru społecznego policji, które czyniono na różnych szczeblach formacji, nie zawsze stanowią miarodajne źródło informacji na temat realnej oceny działań PP[19]. Tym bardziej że sytuacja w województwie wołyńskim pozostawała złożona, dynamiczna i w znacznym stopniu (*vide* eksperyment wołyński Józewskiego, aktywność komunistów, nacjonalistów) wyjątkowa w skali kraju[20].

Efektem przyjętej w monografii kompozycji są pojawiające się w rozdziale III powtórzenia. Mowa w tym miejscu nie tyle o przywoływaniu tych samych danych, co przede wszystkim o powrotach do wątków już po wielokroć poruszanych. Przy omówieniu specyfiki korpusu wołyńskiej PP ponownie czytamy o problemach kadrowych, ich ewentualnych przyczynach i skutkach: słabym wyszkoleniu, kłopotach z dyscypliną, niedbalstwie czy nadużyciach itd. Uwagi te odnoszą się również do rozważań na temat społecznej percepcji działalności policji. Naturalnie charakter prowadzonych w ostatnim rozdziale dywagacji możemy potraktować jako próbę podsumowania wielokrotnie poruszanych w pracy wątków. Prowadzi to jednak do sytuacji, w której nietrudno o efekt *déjà vu*.

V

Niezaprzeczalnym atutem recenzowanej monografii pozostaje fakt, że zawarta w niej wiedza oparta jest na kwerendzie w imponujących ilościowo i jakościowo źródłach. Autor gromadząc materiał do napisania książki, przeprowadził badania w dziesięciu archiwach, zarówno ukraińskich, białoruskich, jak i polskich. Zapoznał się z zawartością blisko stu zespołów archiwalnych. Efektem tego jest zawartość całego opracowania, w którym zgromadzony został ogromny zestaw informacji. Czytelnicy, szczególnie ci zainteresowani historią wołyńskiej policji, otrzymują w ten sposób niezwykle bogaty, nierzadko bardzo szczegółowy materiał do analiz. Tę mrówczą pracę, której dokonał Razyhrayev, należy bezwzględnie docenić.

Trzeba również docenić daleko posuniętą bezstronność, która cechuje autora książki. Opisując trudne i złożone relacje polsko-ukraińskie okresu międzywojennego, bo i o tym ta praca także traktuje, Razyhrayev w wyrażaniu swoich opinii pozostaje historykiem zachowującym godną naśladowania neutralność. Nie ocenia stron ówczesnego konfliktu, nie zajmuje stanowiska w aktualnie toczącym się sporze. Rzeczowa analiza, wolna od emocji, to umiejętność spotykana niezwykle rzadko. Tym bardziej gdy mowa o środowisku historyków, tak polskich, jak i ukraińskich, którzy zajmują się historią wzajemnych relacji obydwu nacji. Obiektywizm autora niewątpliwie rekompensuje słabsze, moim zdaniem, strony monografii o policji wołyńskiej.

[19] P. Cichoracki, J. Dufrat, J. Mierzwa, op. cit., s. 263.

[20] Por. uwagi na temat postaw wołyńskiego ziemiaństwa, szczególnie w okresie rządów Józewskiego. Historyk podkreślił również znaczenie Wielkiego Kryzysu dla rozwoju sytuacji społecznej. W. Mędrzecki, op. cit., s. 266–267; P. Cichoracki, J. Dufrat, J. Mierzwa, op. cit.

http://rcin.org.pl

Czytając książkę Razyhrayeva, o tym aspekcie należy nieustannie pamiętać. Przy czym odnoszę wrażenie, że narzucona sobie autodyscyplina mogła czasami stanowić doskonały pretekst do tego, by unikać głębszego namysłu nad częścią poruszonych w pracy zagadnień.

Książka Razyhrayeva dołącza do szeregu monografii, które analizują funkcjonowanie PP w poszczególnych województwach i całej II Rzeczypospolitej. Powinny one stanowić dla każdego kolejnego badacza wartościowy materiał porównawczy, z którego należy korzystać. W recenzowanej pracy analogiczne doń opracowania służą jednak głównie jako źródło wiedzy ogólnej. Lista problemów, które warto byłoby i należy analizować w kontekście porównawczym, pozostaje naprawdę wyjątkowo długa. Istotą tego typu opracowań powinny być próby ukazania badanej rzeczywistości w szerszym kontekście. Odwołania do ustaleń historyków zajmujących się tą samą materią muszą skłaniać do zadawania pytań, np. o zasadność stosowania chronologicznych schematów, specyfikę województw wschodnich w polityce kadrowej czy finansowej Komendy Głównej PP, rolę PP w procesach unifikacji kraju/ społeczeństwa, wpływ osobliwych elementów życia społeczno-politycznego na specyfikę funkcjonowania PP (tu np. eksperyment wołyński) itd., itp. Próby udzielenia odpowiedzi na te i na podobnego typu pytania, które odnajdujemy sporadycznie w książce, trudno uznać za w pełni satysfakcjonujące.

Monografia poświęcona policji w województwie wołyńskim może pozostawić więc część czytelników, mimo jej wyjątkowej drobiazgowości, z poczuciem pewnego niedosytu. Nawet pomimo jej niewątpliwej zalety, którą pozostaje bezstronność autora. Wiele zależy od tego, czego od tego typu opracowań oczekujemy. Jeżeli mają pełnić wyłącznie rolę kompendium, to recenzowana praca z zadania tego wywiązuje się znakomicie. Jeśli jednak liczymy na to, że będą przełamywać schematy, wychodząc poza sztandarowy zestaw pytań, to omawiana monografia oczekiwań takich raczej nie spełnia. Na wiele pytań nadal nie udziela odpowiedzi. Niemniej do zadania co najmniej kilku nas skłania. Liczyć należy, że autor z czasem na nie odpowie. Bez względu jednak na zgłaszane w recenzji uwagi w biblioteczce każdego, kogo interesują dzieje międzywojennej PP, a także historia Wołynia okresu międzywojennego, książka ta powinna się znaleźć.

Mateusz Rodak
Warszawa

http://rcin.org.pl